Przechadzka

Pod ceglaną wieżą zegarową ukryłem w dłoniach mapę swojego miasta. Świat przeszły, dla wielu zapomniany. Jeszcze przed chwilą odbyłem konwersację z kobietą ukrytą za szybą muzealnej gabloty. Dżed-Amonet-ius-anch szepnęła na odchodnym:

- Nazywam się "mówi Amonet ona będzie żyć". I żyję póki ludzie jak ty pochylają się nad kartuszem z nadzieją na odkrycie w hieroglifach tego, co ścigamy przez całe życie. Wieczności. Schowaj mapę. Wyjdź i posłuchaj co mówią kamienie.

Wyszedłem i schowawszy mapę spojrzałem w głąb uliczki wyłożonej brukiem. Wolno, nieśpiesznie dwie starsze kobiety, pod rękę idąc dla pewności stawiania kroków, a może potrzeby bliskości zbliżały się do mnie. „Ależ one są do siebie podobne". Tymczasem bliźniaczki ominęły mnie lekkim łukiem, jakim starsi, niepewni poczynań nieznajomych osób z dystansem nauczyli się mijać obcych. Kolorowe sukienki okrywające staruszki falowały jednakowo jak ich identyczne twarze w rytm kroków. Siwe włosy jaśniały chwilę na tle burej ściany muzeum i rozpłynęły się pod arkadami na rozwidleniu ulic.

Postąpiłem krok, po nim drugi i kolejne. Gdzież szukać wieczności jak nie pod dachem świątyni. Tak pomyślałem wtedy. Po bruku turkotały koła przejeżdżających samochodów, stukotały obcasy spieszących się na koncert do pobliskiego domu kultury kobiet w asyście cichych stąpań męskich pantofli. Chwilę idąc pod prąd tych wszystkich strojnie ubranych postaci, chwytałem spojrzenia. Niecierpliwość, zmęczenie i radość przeplatały się zaciekawieniem spojrzeń dzieci. I wreszcie zostałem sam na ulicy.

No, nie całkiem. W zaułku pomiędzy kamienicami pojawił się cień. Garbaty, skulony i niemrawy. Przypominał nieco Krystofka z opowieści przewodników i ludzi obeznanych z historią miasta. Przemogłem obawę o swój portfel i podszedłem. Postać w kapeluszu starym jak sam jegomość z równie jak ja obawą w spojrzeniu wyprostował się, a to co uznałem wcześniej za garb postawił między nogami.

- Słyszysz? - Zapytał jakby celem było usłyszeć mój głos. Upewnić się, że nie chcę odebrać tobołka.
- Co mam słyszeć? Wokół nas wiele dźwięków, silniki samochodów, głosy przechodniów, śmiech bawiącej się młodzieży na podwórku...
- Ciiiii. - Niecierpliwie pomachał rękoma nakazując przerwanie mojego wywodu. - Ulicę dalej świerszcz gra swą wieczorną melodię.

Zdziwiony wziąłem to za żart.

- Nic nie słyszę. Naprawdę. Poza szumem i hukiem miasta nic.
- Pójdziemy sprawdzić?

Nie miałem nic do roboty prócz odkrywania świata. Kiwnąłem głową na tak. I ruszyłem za

„kapelusznikiem” do końca ulicy. Poprowadził mnie jeszcze dalej. Gdzie stara kamienica sąsiaduje z domem strojnym w kolorowy kosz kwiatów. Słońce promieniami ożywiło te kwiaty i zdawały się poruszać. Z oczarowania mozaiką wybiło mnie tyrpnięcie palcem w ramię.

- Słyszysz?

Nasłuchiwałem chwilę i wreszcie przez gaworzenie ulicy dotarł do mnie krótki koncert świerszcza. W fudze pomiędzy dwiema cegłami, najspokojniej w świecie, moszcząc się wygodnie, świerszczyk grał swą melodię.

- Jak to możliwe, że usłyszałeś?
- Patrz więc uważnie. – Usłyszałem w odpowiedzi.

I z kieszeni wytartej marynarki wyjąwszy monetę, podrzucił ją do góry i poczekał, aż upadła na bruk. A ten metaliczny dźwięk upadającej monety usłyszeli przechodnie. Zaraz też zbiegli się w miejsce upadku i rozpoczęli walkę o pięćdziesięciogroszówkę.

- Każdy słyszy to, co chce, czego pragnie. – Rzekł do mnie z figlarnym uśmieszkiem porzucając grupkę ludzi. Nie zwrócili uwagi na nas zajęci dociekaniem, kto jest prawowitym właścicielem kawałka metalu.
- Bo ważnym jest słyszeć głos świata, nieprawdaż? On cały czas mówi do nas, tylko... czy my go słyszymy?

Zabrzmiało to jak z powieści Coelho. Nigdy nie czułem się mocny z filozofii. Zostawiłem pytanie bez odpowiedzi.

- Pomóc może przy dźwiganiu tobołka? Wydaje się ciężki.
- To cały mój świat. Waży tyle akurat abym mógł go podźwignąć. Nie potrzeba mi pomocy, ale dziękuję za towarzystwo. Zdaje się, że gdzieś podążałeś, nim podszedłeś do mnie w zaułku? - zapytał.
- Tak. Szukam … wieczności. - Odważyłem się na szczerość wobec nieznajomego.
- Ha, ha , ha.... szukaj więc. Szukaj. - Pomachał kapeluszem odchodząc.

A śmiech odbijał się od fasad kamieniczek. Zagłuszył go dzwon kościoła farnego wzywający na nabożeństwo. Nie mając ochoty na spotkanie większej ilości ludzi, a w kościele podczas mszy było to przecież nieuniknione, ruszyłem wzdłuż kamieniczek na rynku ku Odrze. Cisza na bulwarach pozwoli pomyśleć. Chwilę się zastanowić, a może po prostu chwilę nie myśleć. Zresetować swoje zmysły, aby otworzyły się na otaczający świat.

Zatrzymał mnie wzrok stojącego na cokole człowieka. *„Nie o to chodzi, jak życie sobie ułożyć, lecz dlaczego żyć warto”*. No tak, racja coś powiedział mi dobitnie ze swojego cokołu biskupie. Tym bardziej dobitnie to zabrzmiało ponad głowami głośnej, stłoczonej w ogródku przy kawiarni na rogu grupki smakoszy napoju z pianką. Bez dodatkowych pytań pomocniczych.

„Po co? Jak? Gdzie? ”Wystarczy zapytać dlaczego? Zawsze mnie fascynowały pytania otwarte. Może dlatego, że w przeciwieństwie do pytań zamkniętych sprawiają, że odpowiedzi szukamy w sobie samych, własnych doświadczeniach i przeżyciach. Ujawniamy to, co jest w nas. Dzięki tak zadanemu pytaniu pozwalamy poznać siebie takimi, jakimi naprawdę jesteśmy. I zabiłeś mi ćwieka biskupie, jak bracia kurkowi swojej Ludmile. I nie o kobietę idzie, a o armatę postawioną na rogatce dawnego starego miasta, wylotem skierowaną na dawny dom biskupi i bramę zachodnią do miasta.

Postałem chwilę z nadzieją, że coś mi jeszcze biskup powie, ale nie. Swoim wzrokiem ogarniając część rynku z „zaułkiem jakubowym” w dali, zostawił mnie z pytaniem w mojej głowie. Pojawiły się chmury przede mną a pośród nich postacie fundatorów tej zjawiskowej rzeźby. Od kilkuset lat spowiły kamienne chmury centrum placu skupiając uwagę przechodniów. Na szczycie w błagalnym geście Maryja depcząca węża. „Dlaczego?” Nie dlaczego depcze węża, ale dlaczego warto żyć? Pomimo zarazy, wojen czy głodu, co jak żniwa po siewie przychodzą na kolejne nasze pokolenia. Dlaczego?

Powiadają, że dopóki choć jedna osoba przechodząc obok kolumny przeżegna się, póty nie będzie końca świata. A przecież koniec świata każdego z nas jest nieubłagany i pewny! Zapytany przed wiekami rycerz idący na wojnę, *„czemu idziesz? Tam pewna śmierć”*. Odpowiedział: *„Każda śmierć jest pewna.”*

Pod rozstrzelanym strzałami świętym Sebastianem urywek rozmowy: „У вас є що поїсти? Ти ховаєшся від куль? Я так сумую за тобою ...” (Masz co jeść? Kryjesz się przed kulami? Tak bardzo tęsknię do Ciebie...). Niewidzialna strzała przeszywa moją głowę. Dziewczyna w wieku maturzystki odwraca się plecami, chowa za kłębiące się chmury kolumny. Za nimi pobrzmiewa grom dalekiej wojny. Obrońcy Ukrainy jak Sebastian co przeżył egzekucję pomimo wielu ran zadanych strzałami powrócił do cesarza aby zarzucić mu barbarzyństwo i okrucieństwo. Drugi raz wydany wyrok wykonano jeszcze okrutniej. Czy obrońców czeka ten sam los? Świadomość bliskości wojny kurczy świat do papierowej kulki, którą możemy stłamsić w dłoni. A zapisaną na jej stronach opowieść wyrzucić do kosza.

Próbujące złapać za skrzydła dziecko, mobilizuje do lotu szare gołębie. Krążąc nad rynkiem, dziewczynka z zazdrością patrzy w górę. Też chciałaby wznieść się wysoko, tak wysoko by cały świat móc ogarnąć wzrokiem. Mocna dłoń chwyta malutką rączkę dziewczynki i przygarnia do siebie. Mama zawsze będzie matką. Czujną i gotową na wydrapanie oczu lub przegryzienie tętnicy szyjnej każdemu kto chciałby skrzywdzić jej dziecko. Taki trochę wzrok poczułem na sobie, kiedy za długo gapiłem się na zachwyconą gołębim lotem dziewczynkę. Zachwyt światem zamkniętym w uliczkach i cegłach kamieniczek. Nie zagubić go dorastając, dojrzewając do stwierdzenia *„bo nie wypada”*.

– Nie wypada się tak gapić. - słyszę za sobą. To do mnie? Odwracam głowę. Nie ma nikogo. Czyżbym miał już zwidy, halucynacje albo inną starczą przypadłość? Ale nie. W końcu widzę.

– Szanowny pan wspomoże potrzebującego. Brakuje do piwa, a spragniony jestem. Pomoże pan. Dziesięć groszy wystarczy. - młodzieniec o wyglądzie starca z rękami w kieszeniach patrzy wyczekująco. Wygrzebuję z zakamarków kieszeni spodni metalowy krążek. Obdarowany, zachwycony jak przed chwilą lotem ptaków dziewczynka odchodzi pospiesznie. Wystarczyło dwadzieścia groszy, by człowiek posiadł swój świat. By na chwilę wydało mu się być szczęśliwym i spełnionym. A ja mam kaca. Wspomogłem, ale nie pomogłem przecież. Zadumany, na kacu moralnym i w rozterce przystanąłem dopiero kiedy zza krzewów wychyliła się kamienna twarz siedzącego na pniaku człowieka z książką w rękach.

– *„Sich selbst zu tragen ist nicht einfach.”* (Nie jest łatwo siebie nieść.)

– To z wiersza jest… - olśniło mnie. Postać jak siedziała na pieńku, tak pozostała. Kamienie mają do siebie to, że się nie poruszają. Wykuty uśmiech, spojrzenie czy gest pozostaje na zawsze. Podobnie jest z brązem, żelazem czy mosiądzem. Zastygają na wieczność. Czy w spojrzeniu romantycznego poety zobaczę wieczność? Niestety nie. Kierując wzrok za spojrzeniem postaci nie zobaczyłem nic ponad to, co zwykle. Pośpiech goniących za czasem ludzi. Czasem wymykającym się każdemu z nas. Niepoliczalnemu i nieokreślonemu. Właściwie to nie siebie dźwigamy a czas, który z każdym dniem życia śmieje się z nas tarczami zegarów kościelnych. Jak ten na wieży farnego kościoła. Poeta był jedynym na ulicy korzystającym z książki, bez potrzeby dotykania i posuwania ekranu tabletu lub telefonu. Za nim, wychodzący z galerii handlowej ludzie mając nieodpartą potrzebę podzielenia się swoimi wrażeniami rzucali na messengera lub twittera coraz to inne zdjęcia i emotikony.

– Któż ma czas dzisiaj usiąść na pieńku i poczytać książkę? - zapytałem nie spodziewając się odpowiedzi. Ta jednak przyszła do mnie szybciej niż myślałem. Miała zielone oczy, krótko obcięte włosy w kolorze kruczych piór i jasno chabrową sukienkę. Karminowe usta, wyraziste na tle białej skóry policzków.

– Potrzebuje pan pomocy? - zapytała zielonooka „moja odpowiedź”.

– Czyta pani książki?

– Zdarza mi się czytać, czasem na głos swoim dzieciom, czasem pod kołdrą z latarką w dłoni, by nie przeszkadzać pozostałym domownikom w spaniu. Czemu pan pyta?

– Z ciekawości. Ciekawe co na kolanach ma ten jegomość? Jak się pani wydaje?

– To nie książka a dzienniczek, może z podróży, a może pamiętnik. Faceci w tamtych czasach lubili pisać wspomnienia. Dziś nie pisze się listów do ukochanej czy ukochanego, kartek z życzeniami. Wróciliśmy do obrazków.

– Hieroglifów… - przypomniałem sobie co powiedziała Dżed-Amonet-ius-anch. - „Ona

będzie żyć”.

– Słucham. - Kobieta patrzyła na mnie nieco zdziwiona myśląc zapewne jak wielkiego dziwaka spotkała przed wejściem do sklepu.

– Pismo obrazkowe, czy alfabet, runy…. Czymkolwiek będziemy zapisywać myśl. To myśl zawsze żyć będzie. Tak jest napisane na kartuszu.

– Ciekawe stwierdzenie. - Patrząc na zegarek pokręciła głową. - Jak szuka pan miejsca na poczytanie książki proszę iść na bulwary. Znajdzie tam pan miejsce i spokój. A może i pieniek do siedzenia. Karminowe usta przy uśmiechu odkryły perłową biel zębów, a różowy wąski języczek nawilżył odruchowo wargi i zniknął ponownie za bielą łańcuszka zębów.

– Dziękuję.

Czy egipska mumia za życia przypominała tę kobietę? Czy lubiła czytać? Czy w ogóle umiała?

Za radą swojej ostatniej rozmówczyni ruszyłem żwawszym nieco krokiem ulicą w dół. Do mostu nad rzeką, którego strzegła smukła postać kobiety z dzieckiem na ramionach.

„Miałam mieć ich trójkę, ale jakoś tak wyszło, że mam jedno.” Smukła postać kobiety z brązu jakby wyszła przed chwilą z bulwarów, zmęczone dziecko biorąc na ręce. Matka Polka. Inna jak ta z rynku pośród gołębi. Zamarła z warkoczem w długiej sukni, nie dbała czy się na nią gapię, czy nie. Obsypana wokół kasztanami od lat patrzyła na dorastające dzieciaki, które zbierały owoce wpierw jako dzieci, później swoim dzieciom, by w końcu zbierać wnukom. Kolejne pokolenia przechodziły obok. Prosta w swoim kształcie, potrafiła być wyzwaniem dla młodych artystów. Jak dla tych, co ubrali ją w sukienkę zrobioną na drutach. „Potrafię być atrakcyjna” - zdawało się, że szeptała swemu dziecku do ucha.

Schodami w dół nad rzekę jest kilkanaście stopni. Nie miałem ochoty iść mostem. Lewy brzeg rzeki równie jest atrakcyjny jak prawy. To że mniej drzew w jesienne popołudnie nie ma znaczenia. Słońce pomimo swego największego wysiłku, nie potrafi nas zmęczyć, ale też pozwala przysiąść i bez obawy zmarznięcia zatracić się w melodii szemranej nurtem rzeki.

Niewielka ilość wody w korycie rzeki nie przypominała tej sprzed kilkudziesięciu lat Odry wychodzącej spoza granic wyznaczonych dla jej biegu. A kiedy już wylazła, pokazała swoje najstraszniejsze oblicze. Ludzie już zapomnieli. Kolejne pokolenie nie widzi już zagrożenia ze strony rzeki, a szansę dla miasta.

Rzeka to zaduma. Można patrzeć w przepływająca wodę bez końca i bez znudzenia.

Bezwiednie, jakby kierowany dziecięcą potrzebą podniosłem kawałek kory. Rzeka sama podała myśl rozwiązania mojego pytania. Pytania jesiennej przechadzki.

Jak ten anioł w niebie z piosenki Dominiki Żukowskiej i Andrzeja Koryckiego, usiadłem nad brzegiem. Zawsze noszę przy sobie scyzoryk. Od lat młodzieńczych. Bo kto ma scyzoryk i źródło ognia przetrwa każdą katastrofę.

W ciszy wieczoru zacząłem strugać. Strugać łódkę z kory. Od lat nie strugałem. Powoli przypominałem sobie ruchy ostrzem scyzoryka, cięcia i otwory. Z patyczka leżącego na brzegu powstał maszt. A tak wystruganą łódkę z żagielkiem z liścia dębu puściłem w świat.

Delikatnie łódka odbiła od brzegu, zakołysała się na wodzie i kiedy złapał ją nurt rzeki pomknęła w dal. Za niedługo straciłem ją z oczu. Ale byłem pewien, że płynie dalej ku światu.

Zapewne i mnie już któryś z aniołów struga łódkę dla mojej duszy, a jej cień lada dzień zobaczę na horyzoncie.

– Wystruga pan dla mnie taką łódkę? - kilkuletni brzdąc przysiadł obok, niezauważony przeze mnie.

– Nawet więcej, nauczę cię strugać takie łódki, byś mógł nauczyć kolejnego chłopca. A on kolejnego… Do nieskończoności. Dla wieczności.

I puściliśmy na wodę łódkę chłopca z podobnym jak moja żagielkiem z liścia dębu. A nieco powyżej z uwagą i zachwytem w oczach patrzyli na nas rodzice chłopca. Właśnie „trzymałem” ich cały świat w swoich dłoniach.

Untrauttunga